

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków
w Królestwie Polskiem.

27

Ciąg dalszy.

Spojrzał na zegarek: była godzina szósta. Pierwszą myślą jego było użycie swego służącego do zwerbowania szpiegów, ale zawahał się. Wprawdzie służący jego był Rosjaninem, ale zauważył, że był w dobrych stosunkach ze służbą polską, może się wygadać i roznieść się po kamienicy, że on, sekretarz, najmuje szpiegów.

Idąc ulicą, zauważył szyld kantoru służących, postanowił spróbować szczęścia. Wszedł do ciemnego pokoju, gdzie pod oknem przy stoliku, założonym papierami, zastał niemłodą kobietę, a na ławkach pod ścianą siedziało kilka kobiet i mężczyzn, kandydatów na służbę.

Gołubiew wszedł i wyraził żądanie najęcia lokaja.

Właścicielka kantoru z miną poważną otworzyła jedną, drugą książkę, a wywiedziawszy się szczegółowo, jakiego gatunku będą obowiązki i płać lokaja, odezwała się:

— Mam dwóch... jeden służył w domach bardzo porządnym, bogatym, ale może być dopiero za trzy dni...

— Potrzebuję zaraz, chociażby dzisiaj.

— Ja mogę stanąć u wielmożnego pana od wieczora — wstał z ławki mężczyzna w zaniebanym ubraniu, z twarzą zaniebaną, z wyrazem łaskawej się pokory.

Gołubiew przeglądał świadectwa kandydata. Był to Jan Szal, odstawny żołnierz, który w ciągu czterech lat miał się rozmaitych zajęć. Był parobkiem w zajeździe, pomocnikiem ogrodnika, furmanem, usługiwał w restauracji, ale jedno świadectwo zwróciło uwagę sekretarza, a mianowicie Jan Szal był przez pół roku służącym u naczelnika straży ziemskiej. Tam mógł przejść dobrą szkołę w pochwytywaniu słów i czynów nielegalnych... Spojrzał na twarz Szala, lecz nie mógł wyczytać nic prócz nędzy, która wycierała z policzków zapadniętych, z oczu głęboko osadzonych i pożółkłej cery.

— Wezmę cię na próbę — rzekł łaskawie i po zgodzeniu się wyszedł wraz z nim na ulicę.

Nastęrczała się nowa trudność, dokąd go zaprowadzić, aby wyjaśnić mu obowiązki nowej służby. Po namyśle zdecydował się wstąpić do cyrkułu i znajomego komisarza prosić o pozwolenie użyczenia pokoju na kilka chwil.

Przy wejściu do biura cyrkułowego Szal zawahał się, na twarzy i w ruchach widać było niepokój i obawę, ale zachęcony przez Gołubiewa, wszedł śmiało, z miną wyzywającą.

Komisarz ustąpił chętnie pokoju.

— Ze świadectw twoich — rzekł Gołubiew — widzę, że nie będziesz dobrym lokajem, ale żał mi ciebie, abyś ginał z głodu. Jesteś sprytny, bywałeś w różnych miejscach, dam ci inną służbę. Czy umiesz czytać i pisać?

— Umieć, jasnie panie — skłonił się Szal wpół.

— Zgodziłem cię: dziesięć rubli miesięcznie, na życie dam ci po pół rubla dziennie, ale musisz mi wiernie służyć i trzymać zawsze język za zębami.

— Słucham, jasnie panie.

— Wyrobię ci miejsce na kolei, co zarobisz, tego ci nie potrącę... może dostaniesz 15, może 20 rubli...

— Jasnie panie, życie oddam — zawołał z zapalem, z błyszczącymi pożądlivością oczyma — niech pan rozkazuje.

— Na kolei trzeba mieć oczy i uszy otwarte, pamiętać co mówią, jak mówią, kto z obcych przychodzi, czy otrzymują pisma, odezwy... i wszystko opowiesz mi wiernie.

— Rozumiem, jasnie panie i już wiem, o co idzie... służyłem przecież u wielmożnego pana naczelnika straży ziemskiej, używał mnie do takich delikatnych spraw.

Gołubiew spojrzał na stojącego i uśmiechnął się, zadowolony ze swej znajomości ludzi.

— Dostaniesz miejsce na kolei nadwiślańskiej; od jutra na służbę, dam ci zaliczkę. Kup sobie lepsze ubranie, ogół się, oporządź.

— Słucham, jasnie panie... ale...

— No?

— Kolej nadwiślańska duża, sam nie dam rady, jasnie panie.

— A mógłbyś dostać pomocnika?

— Dlaczego nie, jasnie panie. Znajdę chętnych, byle im dobrze zapłacić.

Gołubiew tak się zapalił do swego pomysłu, tak mu się uśmiechała myśl pozyskania względów Czernejewa, że po krótkim namyśle zgodził się na pomocnika.

— Jutro o dziesiątej rano będziesz ze swym pomocnikiem na rogu Siennej i Wielkiej, pogadam z nim i zobaczę, czy przyda się na kolej; paszport i świadectwa niech przyniesie ze sobą. A teraz słuchaj: jeśli się zdradzisz, robotnicy cię ubiją; jeśli mnie zdradzisz, a na ciebie będzie miała policja i żandarmeryja baczne oko, pójdziesz do więzienia. Służ wiernie i pilnie a nagroda cię nie minie.

— Będę wierny, jasnie panie.

Dał mu zaliczkę i zadowolony, że wszystko udało mu się pomyślnie, poszedł na drugi dzień w umówione miejsce. Niewyraźny blondyn z wynędzniałą twarzą, z chytremi, niespokojnymi oczyma, został przyjęty na służbę; wręczył im bilet do dyrektora kolei z prośbą, ażeby obaj w dniu dzisiejszym zostali przyjęci na kolej, w takim miejscu, gdzie gromadzi się większa ilość robotników.

Wskutek surowego rozporządzenia wojennego generał gubernatora zarządzano nagłe rewizje publiczności w zamkniętych przez wojsko ulicach, przedsiębrano rewizje mieszkań, a ulicami prześwadywały się pod silnym konwojem wojskowym uwięzieni.

Te odezwy i rozkazy, ponaklejane na kamienicach z podpisem ojca, rozgoryczyły Kółę i jakkolwiek przyrzekł matce, że nie będzie wszczynał rozmowy drażliwej i stosunki jego z ojcem znacznie się polepszyły, nie mógł się powstrzymać i w dniu ogłoszenia rozporządzeń wszczął przy obiedzie rozmowę.

— Czyż można pozbawiać broni, nawet głupiej laski, ludzi narażonych na bezkarne rabunki złodziei i łotrów, których policja nie ma czasu pilnować, oddana cała węszeniu politycznych przestępców?

— Czyż istotnie wydałeś podobny rozkaz? — zwróciła się do męża.

— Nasi obawiają się zamachów i żądali tego — odpowiedział spokojnie.

Ten spokój podrażnił syna i patrząc na matkę, mówił dalej:

— Może dziś, może jutro zapłacimy mamie za rozbicie sąsiedniego sklepu monopolowego — uśmiechnął się ironicznie — albo też mama lub ja będziemy oskarżeni o współudział w zamachu, gdy w naszej obecności strzeli ktoś do policjanta, a my winnego nie schwyćmy!

Ojciec spochmurniał i rzekł suchym tonem:

— Młokos jesteś... nie rozumiesz, co to jest rządzić milionem ludzi... sam nie poradzę, od tego są wydziały bezpieczeństwa i one są odpowiedzialne.

— Ale nikt o tem nie wie, bo na każdej odezwie tylko ojciec podpisany.

— Michale Mikołajewiczu — zaczęła żona z wymówką — i ty wydałeś podobne rozporządzenia, a gdzie sprawiedliwość? Karz surowo, ale winnych... a gdyby Kola był w pobliżu zamachu, gdzież jego wina? Nie rozumiem, jakim sposobem mogłeś podpisać coś podobnego... naprawdę, nie poznaję ciebie.

Generał spojrzał chmurny na oboje, powstał z krzesła i równym krokiem poszedł w stronę gabinetu.

— Już idziesz? — zdziwiła się żona.

— Wróć.

Po chwili wszedł z książką protokołów posiedzeń i wręczył ją synowi.

— Zanim będziesz sądził ojca — rzekł — wprawdę dobrze rozważ; na dowód twej omyłki możesz sobie przeczytać ostatni protokół... a teraz nie mówmy o tem.

Po obiedzie Kola z wielką skwapliwością odczytał głośno matce protokół posiedzenia, w którym najbardziej oburzył oboje Krasotina i Gołubiew ze swymi projektami.

— Kola, przeprosz ojca — mówiła miękko — za twe posadzenia... O ile mógł, złagodził ich podług zachcianki, sam widzisz... ale oni są odpowiedzialni za spokój i bezpieczeństwo i gdyby ojciec odmówił, zaskarżyliby go do Petersburga, popadłby w niełaszkę... a może przypisywanoby mu winę za możliwe zamachy i straciłby miejsce.

— To byłoby najlepszym wyjściem -- zawołał podniecony.

— Ależ Kola, ty rozum tracisz — rzekła zgorziona — dla twego kaprysu nie może ojciec traścić stanowiska, zaniedbywać swych obowiązków. Kazano mu, on musi być posłuszny, jako żołnierz.

— Nie, mamoc...

— Kola, zmiłuj się, milcz, jeszcze ojciec posłysz. Ja usprawiedliwiam ojca, współczuję z nim i jeśli kogo nienawidzę, to Krasotina i Gołubiewa. Gdyby moja nienawiść mogła się w czyn zamienić, obajby nie żyli.

— No Kola — prosiła po chwili milczenia — odnieś ojcu książkę i powiedz dobre słowo... To twój ojciec, kocha cię.

— Tylko twemu rozkazowi mamoc jestem posłuszny... nie znoszę niewolników — wstał i poszedł do gabinetu ojca.

Atmosfera domu była mu tak niemiłą, że wyszedł, mimo iż do spotkania się z Logiką miał godzinę czasu.

Na ulicach miasta ruch był stosunkowo słaby, natomiast przeciągały gęste patrole piesze i konne, a na trotuarach szli policjanci w towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy.

Gdy skręcił z Nowego Świata na Chwielną, żołnierze zamknęli nagle ulicę, a rewirowy w otoczeniu żołnierzy krzyknął do przechodzących:

— Ruki w wierzch!

Przystanęli posłuszni, a jeden z młodych, jak widać z ubrania, robotnik, który przed sekundą wyszedł z bramy, podniósł ręce w górę nie czekając rozkazu i uśmiechnięty szedł w stronę rewidującego patrolu.

Na ten widok podniesionych rąk i rozbawionej miny, ci i owi zaśmiali się.

Spostrzegł to rewirowy i uderzył go w kark.

Oburzony Kola podszedł do rewirowego i podając mu swój paszport, zaczął po rosyjsku:

— Jak pan może popełniać takie wybryki?! to nadużycie!

— A panu co do tego? — oburzył się — milcz pan, bo i pan dostanie, a swój paszport schowaj pan, da go pan na mój rozkaz.

— Cicho! Nie krzycz! — zawołał Kola rozgniewany.

— Hej! W czast' jewo! — wskazał żołnierzom Kółę.

Żołnierze obstąpili go i czekali dalszych rozkazów rewirowego, który po skończeniu rewizji i aresztowaniu żartującego robotnika, kazał ich prowadzić do cyrkułu.

Gdy jednak uprzytomnił sobie słowa i ton Koli, zrodziło się w nim przypuszczenie, że może uraził kogoś ważniejszego i rozkazał policjantowi, aby mu przyniósł paszport uwięzionego. Przeczytał i aż zachwiał się, a gdy odetchnął — zakomenderował:

— Stój! — podszedł do Koli z uniżoną miną i rzekł pokornie:

— Raccie darować waszemu słudze... ale to z gorliwości służbowej i wśród tej hołoty polskiej trudno rozróżnić porządnym.

— Nie... proszę mnie prowadzić do cyrkułu, tam pogadamy.

— Ależ zlitujcie się panie, gdzieżbym ja też śmiał — rozkazał cofnąć się żołnierzom — wy panie swobodny.

— Jeśli nie chcesz mnie prowadzić, pójde sam — i zwróciwszy się do swego aresztowanego towarzysza dodał: — chodźmy panie razem.

Rewirowy znów zaczął prosić, widząc jednak bezskuteczność, szedł w pewnym oddaleniu za idącymi, jak pies obity, czekający jeszcze nowych plag.

W cyrkułe opowiedział komisarzowi o zajściu, co wzbudziło ogromne oburzenie urzędnika ze względu na nazwisko skarżącego.

Zawołanego rewirowego zekpał od ostatnich słów, zagroził dyscyplinarką, karą aresztu i bardzo pokornie przeprosił Kółę za nadużycie. Zarazem uwolnił aresztowanego robotnika, lecz po wyjściu obu rzekł do rewirowego:

— Bydlę jakieś... trzeba mieć głowę na karku i jak poczujesz, że to ktoś z naszych, tak ręce przy sobie i znaj uszanowanie... no, idź na służbę...

To przejście na ulicy rozjątrzyło bardzo Kółę i wzmogło jego nienawiść do Gołubiewa i Krasotina.

Równocześnie widział radosne oczy Wandy, gdy, jak postanowił, przystąpi do polskiej partii socjalistycznej. To zacieśni więź pomiędzy nimi i da mu sposobność zbliżenia się do niej i czuwania nad nią.

Zawahał się jednak, wspomniawszy Logikę i Figure.